

ZBIGNIEW WOŁOWIEC

Komisarz Koman



Kły

Niniejszy utwór podlega ochronie prawnej na mocy ustawy o prawie autorskim.

Ochrona prawa autorskiego jest chroniona z mocy prawa. Niniejsza powieść, całą swoją rozciągłością, obejmuje również wyłączność w prawie do korzystania z utworu i rozporządzania nim na wszystkich polach eksploatacji oraz do wynagrodzenia za korzystanie z utworu.

© Copyright by Zbigniew Wołowiec.

Oświadczam, że niniejsza powieść jest czystą fikcją. Wszystkie sytuacje w niej zawarte są zmyślane i nie miały swojego odzwierciedlenia w rzeczywistości. Nazwiska, imiona, nazwy własne, zdarzenia i okoliczności, które mogłyby mieć swoje odpowiedniki w realnym świecie, są wyłącznie efektem przypadku i powstały w wyniku kreacji twórczej autora, nie mają nic wspólnego z ich korelatami w realiach. Oczywiście niektóre nazwy, marki, terminy i geograficzne oznaczenia są autentyczne i powszechnie używane. Nie mają jednak faktycznego powiązania z sytuacjami opisanymi w poniższym tekście.

Jednocześnie oznajmiam, że niniejsza proza nie jest plagiatem ani w części, ani w całości, a wszelkie cytaty innych twórców, mają swoje objaśnienia w odnośnikach i precyzują, kto jest ich autorem, jak również skąd pochodzą.

Użyte w powieści nazwy znanych marek, w żadnym przypadku, nie mają na celu promocji bądź reklamy, a służą jedynie uwiarygodnieniu opisanych sytuacji i zdarzeń, podkreślają charakter i osobowość bohaterów. Kontekst ich użycia, w żaden sposób, nie służy ocenie jakości bądź wartości tych marek.

Życzę przyjemnej lektury.

Zbigniew Wołowiec

Komisarz Koman

Kły (fragment)

...Upłynęła może minuta i los się nad nami zlitował. Odezwał się „Clark”.

– Przepraszam komisarzu, że to tyle trwało, ale kilku gościom z „Magii”, nie spodobało się moje zainteresowanie dziewczyną. Musiałem ich przekonać, że nie mam złych zamiarów.

Skoro tak mówił, to prawdopodobnie musiał komuś wybić zęby dla przykładu. „Clark” był chłopiskiem, który raczej nie uciekał od konfrontacji. Zazwyczaj był przekonujący.

– Czy nadal jesteś taki przystojny?– zatroskałem się.

– Ja owszem, ale dwóch moich adwersarzy będzie musiało udać się do kosmetyczki – zachichotał.

Jego prostoduszność potrafiła zniewalać. Dużym kontrastem dla jego sympatycznego usposobienia, była mało przystojna twarz z widoczną rozległą blizną i rude włosy, pokrywające szczelnie prostokątną, wielką głowę. Błada cera usiana piegami dopełniała obraz tego typu o nordyckich rysach. „Clark” używał przemocy tylko wtedy, kiedy został do tego zmuszony. Nigdy nie prowokował i jego trudno było sprowokować, mimo to, ci co go nie znali zazwyczaj czuli przed nim niemały respekt.

– Gdzie jesteś? – spytałem krótko.

– Na parkingu przy Ratuszowej. Północna Praga. Przy Konopackiej jest Hufiec, a zaraz za nim toporny, kilkupiętrowy budynek z cegły. Wysmukła bryła z jednym wejściem, obserwuję go na razie. Dziewczyna nazywa się Klaudia Staros. Razem z koleżanką wynajmują kawalerkę na trzecim piętrze. Koleżanka to Edyta Binek. To kurwy są... tak myślę.

– Nie myśl zbyt intensywnie, zaraz tam będziemy.

Przebieg rozmowy był słyszalny w głośnikach. „Clark” rozłączył się, a my skierowaliśmy się na Most Gdański.

Znalazłem go bez trudu. Wskazał nam budynek, sam został jeszcze przy samochodzie. Powierzyłem mu Dellę, żeby się nie nudził. Słoneczny, przyjemnie upalny dzień, otaczał to dość ponure miejsce, malując na koszmarnych blokach radosne cienie. Zamiast korzystać z pięknej pogody, codziennie musieliśmy babrać się w brudzie. Miewałem chwile, kiedy nawiedzały mnie zmęczone myśli. Byłem człowiekiem z natury leniwym. Gdybym musiał wybierać między leżeniem beztróskim bykiem, a choćby minimalnym wysiłkiem, pozycja leżąca wydawała mi się bardziej atrakcyjna, ale w „Firmie” nie miałem takich wyborów. Policja nie daje człowiekowi wytchnienia. Jeżeli nie mogłem oddać się błogiemu lenistwu, to przynajmniej mogłem sobie o tym pomyśleć. Tyle że zawsze wpędzało mnie to w ponury nastrój.

Popchnąłem ciężkie, niezgrabne drzwi z grubej blachy. Otworzyły się opornie, racząc uszy nieprzyjemnym zgrzytem. Na wpół rozbita zbrojona szyba, zagroziła całkowitym rozpadem. Znaleźliśmy się na chłodnej klatce schodowej, wymalowanej jak sen wariata. Rozczochrane myśli lokatorów, zapisane barwną kaligrafią, w większości nie nadawałyby się do cytowania w grzecznym gronie. Dominowały treści, które wypełniają słowniki wulgaryzmów w wielu europejskich krajach. Gdzeniegdzie tynk na ścianach nie wytrzymał tego naporu świństw i odchodził płatami do lepszych miejsc. Schody prowadzące spiralnie do góry były tak zdeptane, że niewiele z nich posiadało jeszcze kanty. „Clark” nie znał numeru mieszkania, a na żadnych drzwiach nie było oznakowań. Na każdym piętrze były dwa lokale. Zapukałem do pierwszych drzwi na trzecim segmencie. Za nimi, zniecierpliwiony głos zabulgotał coś niezrozumiale. Otworzył młody chłopak o dużych świetlistych oczach i tłustych włosach. Bokserki i poplamiony podkoszulek mówiły, że nie wybiera się na wernisaż. Za jego plecami stało jeszcze dwóch podobnych herosów. Zapytałem o panią Staros.

Wszyscy trzej patrzyli na nas jak na obcych. I słusznie zresztą. Odezwał się ten na czele.

– A ktoś ty kurwa za jeden. – W jego głosie była lekka obojętność, słowa te kierował do mnie, aczkolwiek patrzył w zupełnie innym kierunku. Pokazałem mu wytłoczoną blachę z napisem policja i nu-

merem służbowym. W ślad za nią ukazała się jego oczom plastikowa legitymacja, wszystko w jednej, eleganckiej, skórkowej oprawie.

– Mógłbym zadać ci to samo pytanie, ale szukam dziewczyny. Jesteś tą dziewczyną?

– Nie znam nikogo takiego. A wy? – zwrócił się do kibiców. Pokiwali smętnie głowami, wyraźnie zatroskani, że nie mają okazji pomóc przedstawicielom prawa i porządku publicznego. Wyłowiłem z koperty zdjęcie blondynki, najlepsze i największe, jakie miałem.

– Zapamiętałbym taką laskę – wykrzywił usta, zadowolony ze swojej błyskotliwej odpowiedzi. Wielkie oczy błędziły mu gdzieś w okolicy bioder Malwiny. Ona zaś, szukała chyba kawałka czystego miejsca na jego podkoszulku. Z chęcią zatrzaskałbym mu drzwi na nosie. Oddałem jej zdjęcie.

– A kto mieszka obok? – zadałem kolejne podchwytliwe pytanie.

– My tutaj żyjemy sobie, szanując czyjąś prywatność. Nie interesujemy się lokatorami. Nie obchodzi nas, kim są, co robią i za ile to robią. Kapujesz?

– Taa. To bardzo szlachetne. Pewnie jesteś na tyle dyskretny, że jak widzisz kogoś w tym ceglaku, to odwracasz wzrok, żeby go tylko nie urazić.

– Otóż to, wszyscy tak robimy panie sierżancie. – Chórem zarechotali. Wesole towarzystwo.

– Zamknij więc drzwi i pielęgnujcie dalej swoją powściągliwość i lojalność. Nie mogę niestety obiecać, że już się nie spotkamy.

– Zawsze do usług.– Zamknął drzwi. Zaraz potem usłyszeliśmy głośnie okrzyki i odgłosy kłaśnieć, przybijanych wzajemnie piętek.

– Jesteś dziś wyjątkowo tolerancyjny – orzekła Malwina.

– Nie tylko dzisiaj, to stała zaleta mojego usposobienia.

Brwi poszły jej w górę, stanęliśmy przed drugim mieszkaniem. Zachęciłem koleżankę, żeby wysunęła się na czoło i też miała okazję, żeby się wykazać. Jej zaciśnięta piastka stuknęła trzy razy. Po chwili powtórzyła trzykrotne pukanie. Chyba usłyszałem jakiś odgłos. Jakby kroki, ciche, ostrożne.

Jeszcze kilkanaście sekund ciszy, po których metaliczny, przytłumiony dźwięk zwolnił zamek u drzwi. Zostały uchylone jedynie na wąską szparę. Mniej więcej na tyle, aby zmieściły się oczy dziewczyny o kasztanowych włosach, zebranych z boku w koński ogon. Malwina wymieniła poszukiwane nazwiska i przedstawiła nas.

Drzwi nieufnie zrobiły oścież. Tutaj też przywitały nas krótkie szorty i podkoszulek. Twarz dziewczyny wymagała renowacji, mały makiąg mógłby uczynić cuda. Była raczej ładna, choć wynędzniałe oblicze nieco nadszarpnęło tę ocenę. Miała długie, szczupłe nogi, zero cellulitu czy innych mankamentów.

– Tak. Ja jestem Edyta Binek, a o co chodzi? Policja? Mieszkamy tutaj legalnie, wynajmujemy tę kawalerkę, mamy umowę.

– Nie przyszliśmy tutaj sprawdzać legalności umowy wynajmu – uspokoiła ją Malwina. – Chcemy porozmawiać z pani koleżanką Klaudią Staros. Jest w domu? – Zmęczone spojrzenie zrobiło się bardziej żwawe.

– Proszę – powiedziała bez przekonania. Rozglądała się niepewnie, jakby nie chciała zdradzić przyjaciółki, która ukryła się w koszu na śmieci. – Śpi w pokoju – wyjąkała wreszcie, odwróciła się i bez zachęcania nas do wejścia, przeszła w głąb korytarza, do rozjaśnionego słońcem pokoju. Stąpaliśmy za nią, po lewej stronie było wejście do wąskiej kuchni, po prawej zamknięte drzwi z małą karbowaną szybą, prawdopodobnie do łazienki. Pokój był małą klitką w prostokątnym kształcie, pełnym damskich drobiazgów, ubrań i infantylnych plakatów, zdobiących obskurne ściany. Nie było tu żadnej wnęki, pierwszy rzut oka wystarczył, aby stwierdzić, że oprócz dziewczyny, która otworzyła nam drzwi, nie ma tu nikogo więcej. Edyta Binek stała odwrócona do nas plecami i patrzyła przez okno nieruchomości. Też staliśmy osłupieni, oczekując jakiegoś wyjaśnienia. W tej krótkiej dwuznacznej chwili uchwyciliśmy cichy szmer za nami. Drzwi od łazienki otworzyły się na zewnątrz, przez niewielką szybę ujrzałem jakiś kontur. Potem usłyszeliśmy trzask zamykanych drzwi wejściowych. Zanim oprzytomniałem i rzuciłem się do wyjścia, kliknięcie przesuwanej zasuwy zamka uświadomiło mi, że ktoś przekręcił klucz z drugiej strony. Szarpnąłem klamką, ale zbyt późno.

– Zawiadam „Clarka” i pilnuj jej – krzyknąłem. Odblokowanie solidnej zasuwy zajęło mi kilka cennych sekund. Wybiegłem na klatkę. Poniżej zobaczyłem blond włosy i zwinne ciało w dresach i sportowym obuwiu, biegnące z zadziwiającą lekkością. Zrobiłem kilka skoków po śliskich schodach i natychmiast to odczułem. Moja noga nie nadawała się jeszcze do takich obciążeń. Dziewczyna zyskiwała przewagę, już wypadła z budynku, toporne drzwi zdążyły się samo-

czynnie zatrzasnąć. Naparłem rozpędem i wydostałem się na zewnątrz. Oślepiło mnie słońce. Rzuciłem głowa na boki, usiłując zlokalizować uciekającą. Kątem oka zobaczyłem „Clarka”, stojącego przed samochodem i rozmawiającego przez telefon. Dopiero zaczął pojmować, co się działo. Wreszcie dostrzegłem dziewczynę, znikającą za pudełkowym wielorodzinnym blokiem, ciągnącym się wzdłuż ulicy. Z bólem wywołanym skakaniem po schodach, puściłem się sprintem w tamtym kierunku. Świat po bokach mi się rozmył, widziałem tylko miejsce, gdzie moja sportsmenka wbiegła w poprzeczną ulicę. Dotarłem tam zadziwiająco szybko. Jednak nie dość szybko. Odzyskałem kontakt wzrokowy, ale dziewczyna nabrała dystansu. Była niezwykle sprawna. Już przebiegała z podniesioną ręką przez dwupasmową jezdnię. W oddali rozległy się ostrzeżenia klaksonów. Zapomniałem o bólu, stojący na chodniku czerwony pick-up był moim punktem odniesienia, do którego musiałem dobiec. Pokonałem jedno pasmo i w szaleńczym pościgu popełniłem niewybaczalny błąd – zignorowałem fakt, że po jezdni zazwyczaj poruszają się pojazdy. Potężny pisk, wywołany tarciami opon o asfalt, przeraził moje zmysły, zaraz potem ujrzałem rosnącą w oczach maskę małego kabrioletu. To wszystko zarejestrowałem w chwili, tak krótkiej, jak błysk flesza. Zdażyłem podskoczyć, aby uderzenie nie ściągnęło mnie pod koła. Na szczęście samochodzik już solidnie wyhamował, wałnąłem jedynie biodrem o maskę, solidnie mną obróciło, przeturlałem się i wpadłem poza przednią szybę z odsłoniętym dachem. Znalazłem się między kierownicą a kobietą, która kierowała kabrioletem. Wymamrotałem, że jestem z Komendy Stołecznej, że nic mi nie jest i że muszę lecieć. Nie czułem żadnego bólu, nic. Adrenalina to dobre znieczulenie, aczkolwiek wytwarzana jest w paskudnych okolicznościach. Znów straciłem ją z oczu. Wbiegła na teren osiedlowego bazaru warzywnego, wpadłem tam tuż za nią, zdrowo nabuzowany. Nerwowo biegałem po alejkach, ale nigdzie jej nie widziałem. Miotalem się bezradny i chyba rzucałem przekleństwami.

Z prawej strony mignął mi jakiś jaskrawy kolor. Rzuciłem się w wąskie przejście pomiędzy straganami, zwalając poukładaną równiutko czerwoną paprykę. Lewym barkiem odbiłem się od sprzedawczyni. Utrzymałem się na nogach, sprzedawczyni nie. Upadła z wrzaskiem, powstało zamieszanie, ale miałem to już za sobą, zobaczyłem wreszcie blond fryzurę, była już przy końcu targowiska, bie-

głem za nią, co sił w płucach trochę szerszą aleją. Co chwilę ktoś mnie odpychał, nie dbałem o to, chciałem ją dorwać, nic więcej. Dalej rozciągał się przestronny plac i parking. Tutaj było prawie pusto. Miarowym, godnym podziwu wyczynowym biegiem, dziewczyna pochłaniała coraz większą odległość. Nie traciłem dystansu, ale też nic do tej pory nie zyskałem. Wiedziałem, że zmierza w kierunku rozwidlenia dróg, nieco dalej było rondo. Za pasmami kilku jezdni był kawałek zadrzewionego obszaru, musiałem ją dopaść wcześniej. Jeszcze przyśpieszyłem, cały czas mogłem ją śledzić, to mi pomagało, przebiegliśmy chyba dotąd z półtora kilometra, moje płuca dawały z siebie wszystko, jej sylwetka majaczyła mi podskakującym bohomazem. Wiedziałem, że przed rozjazdami na rondo, w pewnym miejscu rozchodziły się cztery pasma jezdni, musiała się tam zatrzymać, a przynajmniej zwolnić. Tak też zrobiła, podczas gdy ja biegłem, dziewczyna przepuszczała samochody, pokonała jedno pasmo i znowu się zatrzymała, teraz spieszyłem się w zupełnie zamroczonym szaleństwie. Gdy dopadłem do ulicy, dzieliła nas już tylko szerokość jednego pasa ruchu. Oglądała się za mną i z tej odległości widziałem rozpacz na jej twarzy. Nie dawała jednak za wygraną, czatując na przyzwoite przerwy w potoku pojazdów, oboje przedostaliśmy się do drzew. Ocenilem, że w tej przeprawie miałem więcej szczęścia. Odstęp, jaki nas dzielił, zmniejszył się wydatnie. Poranne treningi z Dellą przyniosły efekt. Niewiasta słabła. Wiedziałem już, że nie zdoła uciec. Na nierównym piaszczystym podłożu, nasze nogi koślawo przemierzały teren, slalomem między drzewami, coraz wolniej i wolniej. Jakiś występ, niewielki garb, korzeń lub cokolwiek innego powalił dziewczynę na ziemię. Nie zamierzała się już podnieść. Całym ciałem zwałem się na nią, łapiąc ją za przeguby obu rąk.

Przygniotłem ją pełnym ciężarem, zablokowałem też jej nogi swoimi, oboje dyszeliliśmy wyczerpani, nie mogąc się ruszyć. Z góry wyglądaliśmy pewnie jak człowiek witruwiański¹ Leonarda. Żadne z nas nie odezwało się słowem. W zasadzie nie spieszyło mi się do zmiany pozycji, ona też nie narzekała, choć bez wątpienia była w gorszym położeniu. W ten sposób miło spędziliśmy następną minutę.

¹ Człowiek witruwiański – rysunek przedstawiający dwie, nakładające się na siebie pozy nagiętego człowieka, wpisane w okrąg. Rysunek traktuje o proporcjach ludzkiego ciała. Autorstwo rysunku przypisuje się Witruwiuszowi a upowszechnił go Leonardo da Vinci.

Rozdział czterdziesty

„Wabika” pożerała zawistna, nienaturalna ambicja przywódcza. Zawsze wiedział, że kiedyś straci „Maksa” z samej góry. Poświęcił mu wiele lat swojego życia, by w końcu dopiąć swego. Szulc był zarozumiałym, pewnym siebie, antypatycznym szują. Wiele razy poniżył „Wabika” przed chłopakami. Nie wiedział, że zniewaga, to dla prawdziwego mężczyzny sprawa honoru. Sam nie miał ani krzty honoru, więc trwał w tej niewiedzy, przeświadczony o swoim autorytecie. Teraz nie jest już autorytetem dla nikogo. Cała jego banda sługusów podkuliła ogony i już patrzy komu zacząć się podlizywać i czyścić buty. „Wabik” wiedział jak z nimi postępować. Wkrótce, to właśnie jemu będą czyścić buty.

Cicha i kusząca zapachem potraw, kameralna restauracja, drażniła jego zmysły i zmuszała do pozytywnego myślenia. Miał jeszcze trochę czasu do umówionego spotkania. Podjechał wcześniej w okolice przychodni i wszedł do małej, rodzinnej jadalni, przepełnionej o tej porze wygłodniałym towarzystwem. Zamówił sobie wieprzowinę z sezamem i chińskim makaronem, sałatkę czosnkową z owocami morza i wodę mineralną z limonką i ananasem. Wrócił myślami do planów, jakie zaczęły klarować się w jego umyśle. Oczyma wyobraźni znów zobaczył Klaudię w galerii. To, co zrobiła, zaskoczyło go. Jej determinacja mu zaimponowała, jednak była dla niego dość niewygodna. Nie zamierzał więcej jej utrzymywać. Mimo że nie wiedział zbyt dużo, to i tak mogła mu zaszkodzić. Dzisiaj u „Freska” zapłaci resztę obiecanej kwoty i każe jej się wynosić z miasta. Jeżeli będzie trzeba, użyje przekonujących argumentów. Teraz nie może so-

bie pozwolić na błędy. Był solą w oku gliniarzy. Jedna wpadka mogła pogrzebać wszystko.

Kelner przyniósł wspaniale pachnące danie, świetnie przyrządzone, do tego kolorystycznie bogatą surówkę i pucharek z wodą. Przez dobrą chwilę skupił się na smakowaniu pysznego jedzenia. Gdy skończył, odzyskał pogodę ducha. – Żadnych złych myśli. Nie uprzedzać zdarzeń złym proroctwem, bo to prowokuje los do zgubnych skutków.

Nieco z boku siedziały dwie kobiety, wesoło plotkując przy kawie i sałatkach. „Wabik” pozwalał sobie na dość swobodne posiłki, więc zawsze naśmiewał się z dietetycznych nawyków innych ludzi. Sądził, że jedzenie jest częścią natury ludzkiej, ale wyrafinowane smaki dostępne są jedynie nielicznym. Sam się do nich zaliczał i choć nie potrafił wykwintnie gotować, to potrafił słono płacić za wykwintne jedzenie.

Delektując się rozkoszną sytością, trochę rozleniwiony, szczególną uwagę poświęcił jednej z kobiet. Podobały mu się jej długie faliste włosy o brązowym odcieniu, ciemna karnacja i czarne podkreślone oczy. Nie wiedział, czy rzeczywiście są czarne, ale z tej odległości tak je właśnie odebrał. Bordowa bluzka ze sporym dekoltem i krótkimi rękawami, doskonale podkreślała jej figurę. Kobiety siedziały bokiem do jego miejsca, więc mógł podziwiać również nęcącą opiętość niebieskich dżinsów, na jej świetnych nogach. Druga z kobiet nie wyróżniała się niczym szczególnym. Zadrukowana, czarno-biała sukienka nie odkrywała żadnych powabnych miejsc, a ulokowana na wolnym siedzeniu niechlujna torba z zakupami, wręcz odstraszała. – Mamuśka na zakupach, wyrwała się z koleżanką na pogaduszki. – „Wabik”, nie dopuszczał myśli, że ta torba mogła należeć do kobiety, na którą zwrócił baczniejszą uwagę. Po prostu tak założył. Bawił się czytaniem w ludzkich charakterach i z chęcią analizował osobowe zachowania, gesty, odruchy. Przypisywał swoim obserwacjom własne historie i nie dbał o to, czy jego spostrzeżenia są trafne.

Patrzył z satysfakcją na jej smukłe, opalone ręce, gestykulujące teraz w gorącej dyskusji. Chciał sprowokować ją wzrokiem, aby zwróciła ku niemu twarz, chociaż przelotnie. Nie gapił się na nią nachalnie, lecz skrywając spojrzenie, nie spuszczał z niej oczu. W tym krótkim zafascynowaniu przypomniał sobie nagle policjantkę, którą mu podstawiono. Perfidnie dał się zauroczyć tej sprzedajnej dziwce. Mu-

siał przyznać w duchu, że była intrygująca i cholernie seksowna. Usprawiedliwiał się, że żaden mężczyzna nie oparłby się jej wdziękowi. No, chyba że pedał. – Jak ona się nazywała... Malwina Błońska.

– Malwina – ważył w duszy jej imię. Podobało mu się. Jej obraz przesłonił mu całkowicie sąsiedni stolik. Mieszanina fascynacji, złości i chęci zemsty wypełniła mu umysł. Spojrzał na zegarek. Do spotkania zostało około pół godziny. Przyszedł mu do głowy zuchwały pomysł. Wiedział, że w Komendzie Stołecznej pracował w charakterze ślusarza, szwagier jego zaufanego przyjaciela, niejakiego Zadry. Słowo przyjaciel chyba było tu może nieco na wyrost, ale „Wabik” darzył dużą sympatią tego chłopaka. Zadra naprawdę nazywał się Zadra Karol i siłą rzeczy, nazwisko stało się jednocześnie jego złodziejską ksywką. Bronił się przed tym nieustrudzenie. Jęczał, że pseudonim zdradza od razu, kim jest – nic nie pomogło. Dał za wygraną, ale słabszym od siebie, zakazał zwracać się do niego w ten sposób. Wymyślił sobie drugie przezwisko – „Drzazga”. Mało kto, go nim raczył. Zadra było łatwiejsze w wymowie.

W zorganizowanej hierarchii przestępczej istniała dość rozbudowana sieć informatorów, będących na usługach wysokiego szczebla. Nie wszyscy musieli legitymować się kryminalnym rodowodem, wielu po prostu było znajomymi lub krewnymi różnej maści aferzystów i czasem sprzedawali informacje zainteresowanym z racji takiej, że po prostu mieli do nich dostęp. Bandyci prowadzili też legalne interesy, często powstałe wskutek poufnych doniesień, odpowiednio wykorzystanych i bezbłędnie popartych brudnymi pieniędzmi. Stosowali przekonujące zachęty kapitałowe. Wychodzili z założenia, że każdego da się kupić, tylko nie każdy spotkał swojego dobroczyńcę. Wystarczy, że delikwent raz wyciągnie rękę i już nigdy się od tego nie uwolni.

„Wabika” podniecił nowonarodzony zamysł, związany z pragnieniem zemsty na powabnej pani komisarz. – Będzie żałowała każdej chwili zaaranżowanego mu upokorzenia. Najpierw musi tę sukę bliżej poznać. Musi wiedzieć o niej wszystko; gdzie śpi, z kim śpi, gdzie się bawi, z kim spotyka, jaką ma rodzinę, gdzie wszyscy mieszkają, czy ma wrogów, ilu przyjaciół, wrażliwe cechy, kompleksy. Gdy je wszystkie pozna, uderzy w najczulsze punkty, a potem złamie ją również fizycznie.

Rozpalił się tą perspektywą, oczy mu zaślniły, a policzki podeszły różem. Nawet kobieta z długimi lokami, która teraz obdarzyła go przelotnym spojrzeniem, przestała go pociągać. Sadystyczne, wynaturzone myśli zaślepiły mu racjonalny punkt widzenia i ocenę sytuacji. Zapłacił uszczęśliwiony własnym egoizmem, zostawiając spory napiwek. Wyszedł z restauracji, zaszczycając kobiety lekkim skinieniem pogardy. Cały świat wokoło niego zaczął nabierać zupełnie nowych kształtów.

Upływały właśnie dokładnie dwie godziny, gdy wchodził do budynku, gdzie mieściło się ambulatorium i zakład opieki zdrowotnej. Poczekalnia nie była zapelniona, w głębi zobaczył szereg wolnych miejsc, przy okienku recepcyjnym oczekiwało kilka osób do rejestracji. Elektroniczna tablica umieszczona na frontowej ścianie wyświetlała aktualnie dyżurujących lekarzy i bieżące numery przyjmowanych pacjentów. Było względnie cicho, bez niepotrzebnej nerwowości, często spotykanej w takich przybytkach. „Wabik” różnił się biegunowo od ludzi korzystających z usług tej poradni. Był młodym, wysportowanym, dobrze umięśnionym mężczyzną, który ostatnie choroby przechodził we wczesnym dzieciństwie. Dbał o siebie, doskonale się odżywiał, chodził na siłownię i uważał, że jeżeli ktoś notorycznie choruje, sam jest sobie winien.

Rozejrzał się ostrożnie, lustrując każdy kąt recepcyjnego holu, ale nigdzie nie zobaczył człowieka, z którym się tutaj umówił. Delikatne brzmienie i wibracje telefonu w kieszeni, poderwały go z zamyślenia. Zerknął na ekran i odetchnął delikatnie.

– Pogrywasz ze mną? – syknął ze złością.

– Ratuję nasze dupy kretynie, ciągniesz za sobą spadochron – usłyszał i zamarł. Zaczął przyglądać się wszystkim niespokojnie.

– Skąd to kurwa wiesz?

– Obserwowałem cię, wszedł za tobą gliniarz ze Stołecznej. Znam go, węszyli u mojego ojca w Jachrance.

– Jesteś pewien, jak wygląda? Może po prostu przyszedł tutaj do lekarza.

– Ochujaleś?! Myślisz, że oni leczą się w takiej dziurze? To szczupły facet o lekko garbatym nosie, jest w wytartych dzinsach i czarnej koszulce z szarą obwódką wokół szyi i paskami wzdłuż rękawów. Rozpoznasz go bez trudu. Przyjechał za tobą białą furgonetką, z wielkim zielonym logo firmy ogrodniczej. Stoi na szpitalnianym

parkingu. Wyjdź, to się przekonasz. Zadzwoń do mnie, jak go zgubisz. Do cholery, ślepy jesteś! – Rozłączył się, zanim „Wabik” zdążył odpowiedzieć. Udając, że drapie się w czoło omiotł wzrokiem poczekalnię. Dostrzegł go niemal natychmiast, siedział w drugim końcu sali, czytał gazetę.

– Czy oni kurwa wszyscy muszą udawać, że czytają gazetę – pomyślał poirytowany. Podniósł się z krzesła i podszedł do kolejki przed przeszklonym biurem rejestracyjnym. Gliniarz przestał czytać gazetę i patrzył w jego kierunku.

– Ja tu będę stać za panią, jeśli pani będzie tak łaskawa, przejdę tylko do samochodu, zapomniałem dowodu osobistego – poprosił uprzejmie i dość głośno.

– Ależ oczywiście, biegnij chłopcze – odparła starsza pani.

„Wabik” wypadł przez podwójne drzwi i strzelił biegiem do małego, zdezelowanego Nissana Klaudii. Otworzył bagażnik i udawał, że szuka czegoś w marynarce. Ogon w panice spieszył już do swojego samochodu.

– Poczekaj psie. Załatwię cię. – Złożył troskliwie swoją marynarkę, powoli zamknął bagażnik i luzacko powrócił do przychodni. Widział, jak tamten zdeorientowany wysiada z furgonetki. Ubawił się tym. Wszedł do przychodni, podziękował starszej pani za zajęcie kolejki i powiedział, że przejdzie najpierw do okulisty zapytać, czy go jeszcze dzisiaj przyjmie, bo być może nie ma po co czekać. Gliniarz już zjawiał się z powrotem i zajął to samo miejsce. „Wabik” zatrzymał się przed tablicą z numerami pokoiów przyjęć i skierował się jednym z korytarzy do najdalej usytuowanego sanitariatu. Sprawdził szybko dwa pomieszczenia. Dopisało mu szczęście, w toaletach było pusto, wszystkie były otwarte. Dojrzał w kącie, leżącą na koszu na śmieci blaszaną szufelkę o krótkiej ręczce i drewnianą małą zmiotkę. Złapał za szufelkę, zamknął ostatnią kabinę przy oknach, stanął tuż za otwartymi do środka drzwiami wejściowymi i ciężko oddychając, czekał. Przez dłuższą chwilę nikt jednak nie wchodził, zaczynał się niecierpliwić.

– Kurwa, przecież wcale nie musi tu wejść, będzie czekał na zewnątrz – przewidywał – to na nic. Chyba że pies pomyśli, że chce mu zwać przez kibel. On też mógł być niecierpliwy. – Postanowił wytrwać. Wkrótce się doczekał. Usłyszał delikatne skrzypnięcie zewnętrznych drzwi. Zacisnął mocniej pięść na rurkowatym uchwycie

szuflki. Podniósł ją nad głowę, szykując się do większego zamachu. To musiał być on, stąpał zbyt ostrożnie. Poczuł przypływ silnych emocji, fala ożywczego dopingu przeszła go dreszczem, ekscytowały go takie chwile. Wyczuł, że tamten zatrzymał się we framudze. Serce biło mu prawie słyszalnie, wstrzymał oddech. W końcu zobaczył znajomą koszulkę. Bezszelestnie zbliżył się do tajniaka, zachodząc go od tyłu. Najsilniej, jak tylko zdołał, zadał paskudne uderzenie zagiętym kantem blachy w czubek głowy, niezbyt barczystego policjanta. Cios rzucił go na okno, ale nie powalił na podłogę, jak spodziewał się „Wabik”. Ofiara oparła się rękami o parapet i ugięła lekko kolana. Rozjuszony gangster nie czekał, kolejne ciosy spadły na zamroczoną głowę, z nie mniejszą siłą. Trysnęła krew na szyby okienne. Ranny policjant osuwał się po ścianie, nie mogąc opanować słabości, już nie miał siły, by odwrócić głowę. Napastnik nie miał żadnej litości, chwycił swoje narzędzie oburącz, odchylił całe ciało i z wielkim impetem uderzył ostrą krawędzią zakrwawionej suflki. Tępy metaliczny pogłos, rozszedł się małym echem. Potężna fanga rozerwała skórę na skroni mężczyzny i powaliła bezsilne ciało, pozabawiając je na dobre świadomości. Przez chwilę „Wabik” zastanawiał się, czy dalej uderzać. Zrezygnował jednak, w każdej chwili mógł ktoś wejść. Przeszedł do umywalki, umył dokładnie szufelkę, oczyścił szmatą miejsca, które dotykał i odłożył tam skąd ją wziął. Spojrzał zamglonym wzrokiem w lustro. Całą twarz miał w drobnych plamkach krwi. Szybko umył się starannie, wytarł papierowymi ręcznikami i w pośpiechu wyszedł na korytarz. Toalety usytuowane były w małej wnęce. Zatrzymał się na kilka sekund, ostrożnie wyjrzał na korytarz. Paręnaście metrów od tego miejsca, siedziało sporo osób na krzeselkach pod oknami. Nikt nawet nie spojrzał w tę stronę. Było tu również przejście do drugiego pawilonu. Przemknął szybko wąskim połączeniem i nie zdradzając zniecierpliwienia, wydostał się na parking.